Cena 15 zł

RÓZGI BIJĄ CO TYDZIEŃ

Rok II 6 lipca 1947 r. Nr 28 (48)

POS. MIKOŁAJCZYK DOSIADŁ SWEGO ULUBIONEGO KONIKA, WYSTĘPUJĄC W OBRONIE „POKRZYWDZONEJ" WSI
(z ostatniej sesji sejmowej)



Wieś mnie, wieś!

Rys. STANISŁAW CIĘLOCH

LUDWIK JERZY KERN

WEZWANIE

O, Muzo satyry, przyleć
na me tragiczne wołanie -
U nas roboty jest tyle
i tylu czeka na lanie.

Rozrosły się, rozpleniły,
wady podobne do chwastów —
Moc jest problemów zawiłych
i dużo, dużo kontrastów.

W ogóle, proszę ja Muzy,
za dobrze, to się nie dzieje —
Są jeszcze, są łobuzy,
kanciarze i złodzieje.

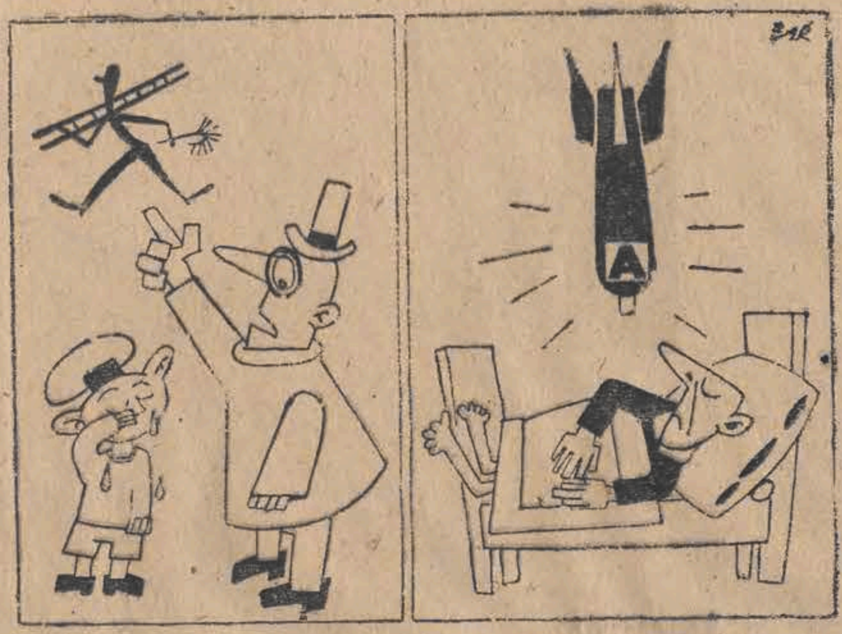
Z rozkoszą by serce kłuł Ci,
niejeden, Muzo, z tych draniów —
Trzeba nam, trzeba żółci
i twardej ręki w pisaniu.

Tymczasem z Twoich podwładnych
kilku po kilka ma funkcji —
Przyleć i powiedz im: — „Padnij!",
a potem udziel instrukcji.

Niech będą rycerzami
bez zmazy i bez strachu —
Niech skończą z gitarami,
to dobre jest dla gachów.

Niech zrobią trochę szumu,
niech szum na Polskę idzie —
Niech wtargnie w serca tłumów,
chociażby raz na tydzień...

STRACHY



Do lat 6-ciu — Od lat 6-ciu

Rys. Karol Baraniecki

STEFAN STEFAŃSKI

Różne nasze dzienne sprawy

Wśród listów, zaczynających się stereotypowo od słów: pozwalam sobie przesłać (przesyłam, przesyłam w załączeniu) swoje utwory (fraszki, ody, poematy, humoreski), które sądzę (mam nadzieję, zaufanie), Szan. Redakcja zechce wykorzystać (zamieścić, wydrukować) — trafiają do nas i epistoły odmiennej treści. Zresztą także — nacechowane ufnością: jesteśmy przekonani, że doceniając doniosłość (wielke znaczenie) sprawy, przyczynicie się do ugruntowania więzi i zadokumentujecie wkład, dając na zręby tyle i tyle...

Ostatnio otrzymaliśmy wezwanie od pewnego Koła. „Jesteśmy — piszą — kołem, które docenia znaczenie walki z plagą alkoholizmu w państwie, a zwłaszcza na terenie przedsiębiorstw komunikacji". Koło pragnie propagować trzeźwość przy pomocy plakatów, odczytów i wzbudzenia u pijaków zamiłowania do czytania.

Oczywiście, poprzemy Koło i ofiarujemy „egzemplarze książek, które są nam przysłane do oceny lub niepotrzebne". Liczymy, że wzamian za to wdzięczne Koło po pewnym czasie ucieszy nas następującym listem:

Donosimy, że wzbudzanie zamiłowania do czytania osiągnęło kolosalny skutek. Wypożyczalnia nasza — wbrew uśmieszkom pesymistów i szyderców — zastąpiła w zupełności pijanym (dotąd) lotnikom i szoferom wszystkie zakłady z prawem wyszynku, stała się ich ulubionym barem tudzież knajpą.

Zamiast ohydnego: wstąp, kolego, na jednego — słyszy się na terenie przedsiębiorstw komunikacji miłe dla ucha: wstąpmy na „Pana Tadeusza", a zamiast wygoliny pół literka — pochłoniemy parę tysięcy liter...

W Łodzi, gdzie konsumcja alkoholu jest przeciętnie dość spora (trzy litry miesięcznie na głowę) nie słychać nic o działalności kół tow. „Trzeźwość" ani „Związku Abstynentów i Przeciwwódkowców" (organizacja franciszkańska). Tym niemniej — trzeba to podkreślić — w czerwcu nastąpiło tu załamanie pijaństwa.

Kontrpijackim „momentem" propagandowym okazał się nie — plakat, nie — odczyt, nie — pisemko „Wstrzemięźliwość", nie — czytelnia, ale historia z koluszkowskim metalonem czy metylenem, tudzież opinia, dewaluująca wartość „Perły", płynnego klejnotu Ministerstwa Skarbu. Naród, proszę państwa, nie dowierzający morałom zląkł się trochę (jednak!) t. zw. białej laski.

Niestety, działanie tego środka zaczyna zawodzić. W gazetach stoi, że ofiary zatrucia metalonem przychodzą do zdrowia, a co do „Perły" — Ministerstwo Skarbu stwierdziło kategorycznie, że „wódka ta nie zawiera żadnych domieszek ani składników szkodliwych dla zdrowia".

Znaczy, bądźcie spokojni, nie odstraszajcie się — „wódzia krzepi, wódzia chłodzi, wódzia nigdy nie zaszkodzi".

Hm, wolelibyśmy, aby w tej sprawie wypowiedziało się raczej Ministerstwo Zdrowia. Niby w/g t. zw. kompetencji.

Dobrze to jest i mądrze, że tu i ówdzie myśli się, przejawia inicjatywę tudzież organizuje się walkę z alkoholizmem. Dobrze i mądrze byłoby zwrócić także uwagę na walkę z hazardem. Np. — na „zabawę w koniki".

Hodowla koni, oczywiście, konieczna jest i pożyteczna. Polska kraj rolniczy, wojna zdewastowała „pogotowie", szkap roboczych zostało niewiele.

Tylko coś z tą hodowlą niebardzo. Podobno w Państwowych Stadninach ex-hrabianki i b. hrabiowie na arabach brykają, a co którego ujeżdżą — to do Warszawy, na wyścigi konne, na totka.

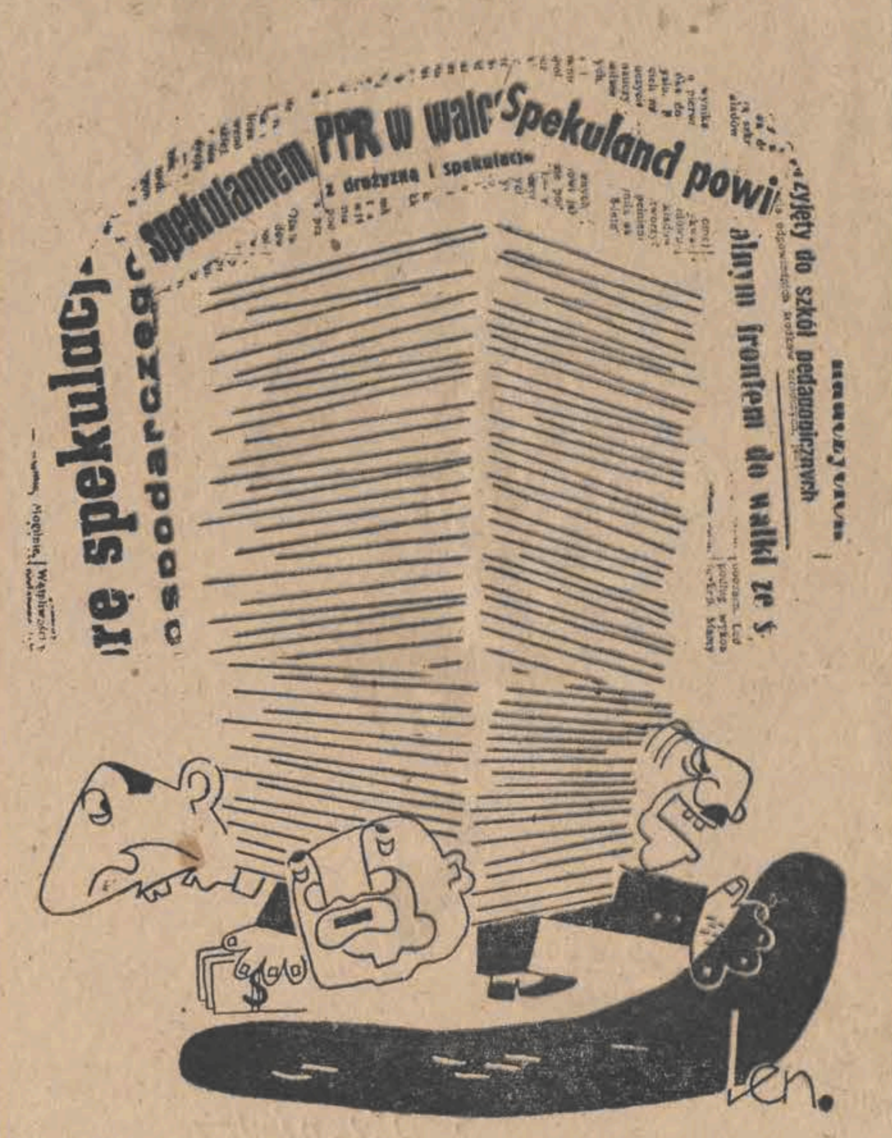
W ten sposób zamiast niezbędnych szkap pociągowych otrzymujemy, niestety, szkapy, pociągające ludzi za kieszeń.

P. S. Apropos totalizator: Niedawno przeczytaliśmy w jednym z pism warszawskich taką notatkę:

„Właściciel konia H. Jagodziński obecnie odbywający rekolekcje za sabotaż gospodarczy w jednym z obozów przymusowej pracy, otrzymał cenny puchar".

Do czegóż więc zachęta jest Tow. Zachęty do Hodowli Koni?

PRASA DEMOKRATYCZNA POTĘPIA JEDNOGŁOŚNIE SPEKULANTÓW



Rys. Jan Lenica

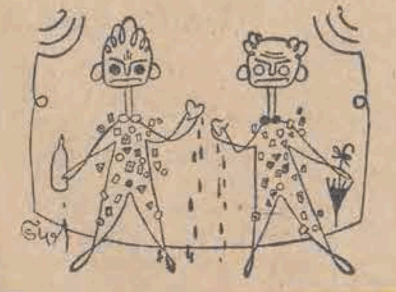
Pod prasą

IGOR SIKIRYCKI

Ilustr. ARTUR MARYA SWINARSKI



TRAGICZNA ballada O ZNACZKOMANII



Byli dwaj przyjaciele, tacy sobie zwyczajni.
Wszystko oddał ten pierwszy, kiedy drugi rzekł: daj mi!
Drugi chętnie oddawał, co miał, temu pierwszemu —
I nie było w ich życiu niejasnego problemu.

Więc na spółkę szło wszystko: buty, getry, garnitur,
Mandolina, parasol czy też słoik konfitur.
— Dzielmy nawet powietrze! — szepnął pierwszy (ten Michał).
I istotnie na zmianę każdy z nich już oddychał.

Wokół tych to przyjaciół wzrosła taka legenda,
Co byś oddał pierwszemu, to drugiemu już ten da.
Byli jednak i tacy, co szeptali, że drażni
Ich ten przykład daleko posuniętej przyjaźni.

Lub inaczej: szaleństwa omotała ich wzdłuż nić
I że trzeba przyjaciół w jakiś sposób poróżnić!
Więc na tajnej naradzie, przy warchole siadł kretyn
I po trzech posiedzeniach powstał taki biuletyn:

„My, stateczni mężowie, gminy Stary Niezgodów
Uchwalamy poniższe z zasadniczych powodów:
A) mianować Michała członkiem klubu „Çnych Praczek";
B) przy pierwszej okazji odpowiedni wpiąć znaczek".

Wnet spotkali Michała (planom stało się zadość).
W dumę jęli go wbijać, aż powiedział, że ma dość,
Że się zgadza na wszystko, on zwyczajny szaraczek,
Że mu zaszczyt przynosi to, że nosić ma znaczek.

Stąpa Michał po schodach (bo zepsuła się winda),
A na piersi ten zncczek „Klubu Praczek się dynda.
W domu siedział przyjaciel, kawę pił wyśmienitą.
Ledwie spojrzał na znaczek, już powiada: daj mi to!

Na to Michał z podełba, że nie może, niestety,
Że ten znaczek podkreśla osobiste zalety.
Zbladł przyjaciel i krzyknął: całą sprawę mi wyjaśń,
Czy przez głupi ten znaczek diabli mają wziąć przyjaźń?

Potem dodał: — Ha, trudno, muszę skończyć już raz to.
Trzasnął drzwiami, wziął laskę i poleciał na miasto.
Wrócił jednak niebawem — posiwiałe miał baczki,
No, a w klapie, rzecz jasna, wpięte inne dwa znaczki.

Wtedy zerwał się Michał. Nie mógł znieść atmosfery
Tak napiętej. Gdy wrócił, miał już znaczków aż cztery.
Od tej pory na zmianę wybiegali z mieszkania.
Taki wpływ zły wywarła na nich ta znaczkomania.

Ledwie jeden wpiął znaczek klubu „Chorych na pęcherz"
A już drugi był członkiem koła „Ćwiczmy swój węch też".
Pierwszy złożył swój podpis w związku „Kochaj kanarka"
A już drugi miał znaczek chóru „Tęskna fujarka".

Nic dziwnego, że krawiec wkrótce klapy powiększył
A na piersiach zbiór znaczków z każdym dniem się wciąż piętrzył
Ciągle rosła kolekcja. Ciężar plecy przygarbił,
Ale znaczki wpinali, że aż z twarzy im żar bił.

Szli wolniutko po schodach (winda ciągle popsuta)
Jakże można iść prędko, kiedy znaczki i w butach?
Anioł śmierci ich spotkał (każdy składa wszak mu dar)
Więc natychmiast umarli na osłabłych serc udar.

Poszli prosto do piekła — taki dla nich był przydział
Od tej pory już w żadnym klubie nikt ich nie widział.
Tylko w gminie Niezgodów stary sołtys Polaczek
Na ich śmierci pamiątkę ufundował znów znaczek.

M. NUDELMAN

KŁOPOTY HUMORYSTY

Było to jeszcze przed wojną. Pojechałem do pensjonatu. Przyjechałem właśnie w chwili, gdy podawano obiad. Nie spotkawszy nikogo ze znajomych, przedstawiłem się gościem podając zmyślone nazwisko. Na ich pytanie, jaki jest mój zawód, odpowiedziałem, że jestem zegarmistrzem. Bo jeśli dowiedzą się — pomyślałem sobie — że jestem humorystą, zaczną nalegać, abym czytał im swoje satyry humoreski, co już nie jeden raz źle się dla mnie skończyło.

Siedzę więc przy stole, a wszystkie spojrzenia skierowane są na mnie. Zaczynam obserwować sąsiadów. Żarłocy — stwierdzam — godni wysłania na wystawę darmozjadów.

Obok mnie siedzi przystojny młodzieniec i pracuje szczękami, aż się uszy trzęsą. Gdy podano do stołu półmisek ze szparagami, sąsiad mój przysunął go do siebie i zaczął zajadać w najlepsze, nie troszcząc się o innych gości.

— Panie szanowny — odzywam się nieśmiało — ja także lubię szparagi...

— Ale nie tak, jak ja — odpowiada i dalej zajada.

Po obiedzie towarzystwo było już ze mną zaprzyjaźnione.

— Panie zegarmistrzu — odezwał się jeden z moich nowych znajomych — Pan chyba ma dokładny czas, powiedz mi pan, która godzina?

Drugi zbliżył się do mnie, prosząc o uregulowanie ręcznego zegarka. Korpulentna kobieta z podwójnym podbródkiem zasięgnęła mojej rady, jaki zegarek ma kupić w prezencie dla „wybrańca" swej córki. Poradziłem jej, aby narzeczonemu kupiła zegar ścienny.

— Zegar ścienny — tłumaczyłem fachowo — jest rzeczą bardzo praktyczną i precyzyjną.

Przez dwa dni czułem się doskonale w moim nowym zawodzie. Po pewnym czasie zacząłem jednak żałować tego kłamstwa, gdyż miałem z tego powodu dużo kłopotu. Czyż nie lepiej było powiedzieć tym ludziom, że jestem n. p. mechanikiem okrętowym? Zegarek ma przy sobie każdy, lecz rzadko się zdarza, aby ktoś z gości w pensjonacie nosił ze sobą okręt.

Po trzech dniach zegarmistrzowstwa, bomba pękła. Do pensjonatu przyjechał nowy gość i stojąc jeszcze na progu werandy, wykrzyknął:

— Uszanowanie! Co pan tu robi, panie N? Czy bawi pan chociaż towarzystwo?

I tu zaczynają się moje istotne kłopoty. Całe towarzystwo opadło mnie.

— Ho, ho , ho — odezwał się jeden — ale nas nabrał! Przez dwa dni nabijał się z nas, że aż miło!

— No, no — powiedział drugi — do czego to humorysta jest zdolny!

— Obserwowałam go wczoraj podczas drzemki poobiedniej — zauważyła filozoficznie korpulentna dama. — Sposób jego chrapania wskazywał wyraźnie na to, że jest on humorystą, a nie zegarmistrzem...

Po moim „zdemaskowaniu" całe towarzystwo nie spuszczało ze mnie oczu. Mam, niestety, taką wadę, że gdy ktoś wpatruje się we mnie uporczywie, drżą mi ręce. Czując spoczywający na sobie wzrok otoczenia, upuściłem widelec, który z brzękiem upadł na podłogę.

Wszyscy siedzący przy stole ryknęli serdecznym śmiechem,

— Chachachacha!

— Ależ on jada komicznie!

Podczas gdy schylałem się, aby podnieść widelec z podłogi, wywróciłem talerz — a cała jego zawartość wylała się na mój jasny garnitur, powodując nowy wybuch wesołości.

— Cha, cha, cha! Jak doskonale on to robi!

— Poznać komika z Bożej łaski...

Towarzystwo i służba tak byli rozbawieni i zajęci moimi „żartami", że gdy podano mięso, zostałem pominięty. Sąsiedzi wcinali aż miło, a ja siedziałem przed pustym talerzem.

— Nie dostałem jeszcze mięsa — podniosłem słaby sprzeciw.

— Czysty teatr!...

Goście spazmowali ze śmiechu, oblizując tłuste wargi — a ja siedziałem przy stole, łykając ślinę i melancholijnie przyglądałem się jedzącym...

Po obiedzie siedziałem na werandzie. Nagle w policzek ugryzła mnie osa. Podniosłem krzyk.

— Szybko, szybko! — nagliłem. — Dajcie mi amoniaku lub oliwy, bo strasznie kłuje i piecze!

Towarzystwo — słysząc mój krzyk i widząc moją, bólem wykrzywioną twarz — okrążyło mnie i zaczęło bić brawo.

— Ale to jest spryciarz!

— Popatrzcież jak naturalnie płacze!

— On jest geniuszem humoru...

Gdym poszedł do lekarza, policzek był już porządnie zaczerwieniony i spuchnięty.

Po kilku dniach poszliśmy razem na plażę. Wszedłem do wody, chcąc zażyć chłodzącej kąpieli. Oddaliłem się zbytnio od brzegu. Nagle straciłem grunt pod nogami i zacząłem tonąć.

— Ratunku! Ratunku! — krzyczałem.

Goście, słysząc moje wołanie, ustawili się wzdłuż brzegu i zanosili się od śmiechu.

— Oho! — słyszałem głosy. — — Humorysta znowu nas zabawia. Brawo! Brawo!

Czułem, że tracę przytomność. Rękoma dawałem znaki, że tonę, a towarzystwo... ryczało ze śmiechu. —

Przypadkowy przechodzeń, który mnie wyratował, został sowicie nagrodzony.

Nazajutrz opuściłem pensjonat, lecz przed wyjazdem zważyłem się jeszcze. Okazało się, że po dwóch tygodniach pobytu na letnisku — ubyło mi sześć kilogramów...

Tłum. Cevis

LUDWIK JERZY KERN

WALCZMY ZE SNAMI

Śmiać mi się chce, gdy sobie wyobrażę te wszystkie Wasze pytania, którymi będziecie chcieli zbić mnie z tropu i udowodnić, że walka ze snami jest mrzonką wylęgłą w moim mózgu, jakąś prywatną idee fixe którą nie warto się przez moment nawet zainteresować. Wiem, że gdybym poprzestał tylko na tytule, który n. b. jest głównym dziełem mego życia mówilibyście o mnie tak, jak się mówi o facecie, który twierdzi, że wynalazł perpetuum mobile, a na ulicy kreślilibyście za moimi plecami wielemówiące kółka na swoich szlachetnych czołach.

Ja jednak nie poprzestanę tylko na haśle, (chociaż samo rzucenie hasła powinno być dostatecznym powodem do sławy), ale dowiodę Wam, że walka ze snami jest nakazem chwili. Sen bowiem to największe zło! To bezpośrednia przyczyna nieszczęść, trapiących od wieków biedną, skołataną ludzkość.

Gdyby nie sen, nie byłoby na przykład — wojen! Bo przecież, jeśli tylko weźmiemy do ręki bibliografię któregoś z wodzów od Aleksandra Macedońskiego do Schickelgrubera, powiedzmy, to wyczytamy, że typom tym od wczesnego dzieciństwa nic się innego nie śniło, jak cudze lądy i morza z utęsknieniem czekające na łaskawe podbicie.

To jest jeden powód, przyznacie sami, dość poważny, dla którego należy walczyć ze snami. Teraz inne. Czy nie zdarzyło się Wam nigdy, o Czytelnicy rodzaju męskiego, że nagle pewnego dnia żona przychodzi do Was z zapotrzebowaniem na jakąś wytworną toaletę, o której wie już dokładnie jak ma wyglądać i z czego ma być zrobiona? Napewno, tak! Otóż skąd się bierze, że spokojna dotychczas kobieta, zrównoważona, mądra, ma ni stąd ni zowąd pragnienie przekraczające wielomiesięczne możliwości Waszej kieszeni? Nie wiecie? A ja — wiem! Przyczyną takiej metamorfozy może być albo film amerykański, nie liczący się nigdy z wydatkami na stroje kobiet albo sen. Film raczej odpada, ponieważ Green Garson, czy Rita Hayworth nigdy nie przebywają na ekranie dłużej niż pięć minut w jednej i tej samej sukni, wskutek czego trudno jest zauważyć wszystkie szczegóły toalety, o których tak świetnie poinformowana jest Wasza żona, sen natomiast na stanie swojej nocnej dywersji ma czas nieograniczony. Jeśli nie uda mu się przekonać i olśnić kobiety w ciągu jednej nocy, to pozostają następne.

Rozumiecie teraz, co się kryje za niewinnym, zdawałoby się, marzeniem sennym kobiety. Otchłań rozpaczy, niezliczone metry wzorzystych materiałów, setki modeli najrozmaitszych kapeluszy i okropne suszenie głowy.

Przy okazji pozwolę sobie podać mężczyznom maleńką radę. Dla zapobieżenia złym wpływom snu, należy budzić żony w odstępach 15 — 20 minutowych. Jest to sposób wypróbowany w wielu wypadkach i na wielu kobietach Wtedy bowiem marzenie senne nie ma odpowiedniego klimatu na rozwinięcie pełnej skali swoich strasznych umiejętności.

Teraz jeszcze chciałbym powiedzieć słów kilkoro o złym wpływie snów na twórczość literacką. Wszyscy zapewne wiecie, że często sen w swoim przebiegu bywa nielogiczny prawie do absurdu. Powiedzmy: leżąc w łóżku śnicie, że jedziecie tramwajem, który nagle zmienia się w pudełko od sardynek wprawiane w ruch przez sześć rasowych jamników. Jamniki nagle wyskakują z zaprzęgu i wchodzą do kawiarni, zamawiają mazagran z lodem i piją go, ciągnąc przez własne ogony zamiast przez słomkę. Wyobraźcie sobie, co się dzieje gdy taki sen przyśni się na przykład znakomitemu poecie Konstantemu Gałczyńskiemu, „zwanemu w Hiszpanii mistrzem Ildefonsem". Powstaje, naturalnie, z tego nowa premiera „Zielonej Gęsi" p. t. „Sen o Słomce". Ile wtedy namozolą się czytelnicy, żeby odcyfrować właściwy sens utworu w myśl klucza: „co poeta chciał przez to powiedzieć". Mało tego. Fachowcy od zagadnień literackich wiodą po premierze długie dysputy, z których w efekcie powtaje pomnikowe dzieło dla studentów humanistyki w Polsce na przeciąg najbliższych stu lat. Tytuł dzieła: „Sen o szpadzie, a sen o słomce — czyli — od Żeromskiego do Gałczyńskiego".

Nie, stanowczo literatura źle wychodzi na snach. Mnie osobiście śnił się kiedyś Słowacki, który w czasie rozmowy odzywał się do mnie per ty. Skorzystałem przeto ze sposobności żeby się mistrzowi zrewanżować i napisałem o wieszczu per Julek. Rany, Julek, co się stało. Huszcza śmiertelnie się na mnie obraził, pogadał ze Słowackim i odtąd ten ostatni przychodzi do mnie we śnie nie inaczej, jak z ośmiostrzałowym Coltem. Oczywiście, że w takich warunkach nie może być mowy o jakimkolwiek pogłębieniu przyjaźni. A w ogóle byłbym za tym, żeby Słowacki poszedł choć raz z tym Coltem do niejakiego Kaliksta Łasiczki, który mieszka w tej samej prawdopodobnie dzielnicy zaświatów co i pan(!) Juliusz.

Na powyższych przykładach widzicie, jak straszną rzeczą jest sen literata. I dlatego, jeśli chcecie czytać cokolwiek w języku ojczystym i jeśli chcecie, żeby Was głowa przy tym nie bolała, walczcie ze snami.

Nie będę już mówił o tym, że sen jest poprostu fałszowaniem rzeczywistości, że może marzenia nasze pchnąć na reakcyjne tory, że może w nas zaszczepić destrukcyjne pragnienie posiadania 51 hektarowego majątku ziemskiego, że może nam ofiarować dziesięciopokojowe mieszkanie na cztery osoby, że może nas zmusić do tego, że będziemy wznosić okrzyki na cześć Sławoja Składkowskiego...

Być może, będą starali się Wam wmówić, że sen daje czasami złudę rzeczy pięknych. Nie wierzcie! Nie ma tego pięknego, coby na złe nie wyszło. Pamiętajcie: sen jest przyczyną wszystkich nieszczęść, zapełnionych kryminałów i zwichniętych karier. Musimy sen wyeliminować z naszego życia, jeśli chcemy być fizycznie i moralnie zdrowi. Jeśli walczymy z nadużyciami, walczyć musimy z marzeniem sennym, które jest bezpośrednim patronem nadużyć. A więc: szczypmy się nawzajem! Budźmy się nawzajem! Pamiętajmy: musimy walczyć!

P. S. Nie potrzebuję chyba dodawać, że felieton niniejszy śnił mi się słowo po słowie, w porządku chronologicznym, w nocy z dnia 23 na 24 VI. br. Myślę, że fakt ten powinien przekonać nawet najbardziej zatwardziałych zwolenników snów.

KALIKST ŁASICZKA

PLAŻA i zapomniany pasek (z twórczości poetyckiej)



Hej, podmiejska gwarna plaża,
Ileż oczu naobraża!

Same wokół nagie ciała —
chcą, by woda je zbryzgała.

Potem każde w słońcu siedzi,
by posągu kształt mieć z miedzi.

Pośród wiklin byle kępy
klempie ciało obok klempy.

Na kajaku facet jedzie,
dzisiaj któreś z ciał uwiedzie.

Pod brzozami bulgot wódki,
ciała inne leczą smutki.

Kiedy wieczór zaś zapada,
to rozchodzą się ciał stada.

Chłód liliowy ziębi piasek,
czyjś od spodni został pasek.

Zapomniany pasek leży,
romantyczny nastrój szerzy.



Ilustr. ZBIGNIEW KIULIN

NA POLSKICH EKRANACH



„Tusze nieujarzmione"

Rys. Zbigniew Kiulin



DOBROBUT

Przed wojną, na Lesznie w Warszawie, mieszkał znakomity szewc, którego firma nosiła tę dowcipną nazwę. Szewc ten zapewne zginął podczas wojny, bo inaczej odezwałby się do swych dawnych klientek.

„DOBROBUT" — równa się „DOBROBYTOWI". Jak się nie ma „dobrobuta" to o dobrobycie nie może być również mowy. Bo, pamiętajcie o tym, panowie, że dobry but, to znaczy taki, co nie ciśnie nie gniecie. To dobre samopoczucie, dobry humor i dobry charakter. Buty nie wygodne nie tylko gniotą i uwierają, ale również „piją". A but, który „pije"; to już szczyt nieszczęścia. — Żaden ząb, żadna głowa, nic tak nie potrafi boleć jak antypatyczny zazwyczaj „duży palec", gdy ma za ciasny but. Brzydkie to stworzenie posiada u pań paznokieć albo czerwony albo zielony (innego wyjścia nie ma), u mężczyzn zaś jest zawsze naturalnego koloru, czyli „saladynowy". „Saladyn" ów zmienia się w głęboki fiolet, gdy go koniec od buta ciśnie, a jego właściciela zamienia z okrągłego pyknika w ponurego schyzofrenika.

Jestem pewna, że wielu mężów stanu, z powodu których wybuchły wojny, miało w momencie decyzji czy rzucić płonące żagwie w świat, czy też jeszcze zaczekać — gniotące i niewygodne buciory! Hitler na przykład to typowy pan, który nosił jako pamiątkę z tamtej wojny odnawiające się coraz to odgnioty.

Buty, panowie, należy więc kupować na nogę, a nie „na oko". Niestety, obecnie coraz częściej nosi się buty „na oko". Przede wszystkim buty robione na miarę są tak poważnym wydatkiem, że mało kto z nas może sobie na nie pozwolić, a po drugie zacni krewni, znajdujący się za granicą, przysyłają nam przepiękne świńskie buty (wybierane, oczywiście „na oko"), które czasem bywają tak zazdrość budzące, że nie ma się serca ich sprzedać i nosi się je, psując sobie tym samym nogi i.. charakter. Strasznych rzeczy powodem bywa nieraz ciasny i niewygodny but.

Znam pewnego młodzieńca, który w jasno-beżowych, zaciasnych, zagranicznych półbutach popełnił krok w... małżeństwo. Opowiadał mi to sam, ze łzami w oczach. A było to tak:

Szedł piechotą na daleki zamiejski spacer, ze znajomym dziewczęciem, które go trochę grzało a trochę ziębiło (wrodzoną głupotą, połączoną z nadprzyrodzonym sprytem). Każdy krok w przepięknych zagranicznych butach był dla niego torturą nie do zniesienia. W pewnym momencie, nie mogąc już dłużej wytrzymać, zaproponował dziewczęciu, ażeby spocząć w przydrożnym lasku.

— Czy ci to nie będzie przeszkadzało, kociaku, że zdejmę buty? — zapytał z uśmiechem umierającego łabędzia.

— O, świetnie — zawołał „kociak" — ja zdejmę też, ale suknię również, bo mi jest strasznie gorąco!

Co później nastąpiło, można się domyśleć.

— Jako dżentelmenowi — zauważył „kociaczek" po godzince — nie wypada ci teraz nic innego zrobić, jak tylko się ze mną ożenić, inaczej powiem tatce, tatko powie to dyrektorowi, a dyrektor wyrzuci cię z posady!

Ożenił się więc biedny, przeklinając piękne, zaciasne, beżowe buty. Od tego czasu nosi w lecie sandały, w których wygląda jak św. Piotr — Apostoł lub ks. Kneipp. Nic mu to już zresztą nie pomoże, dziś, kiedy tak strasznie wdepnął!

Butów nie należy więc nie tylko kupować „na oko", ale również i w znajomej piekarni, owocarni, lub w sklepie z żelazem. Są to tak zwane „okazje". Każdy kupiec, pamiętajmy o tym, jest hypnotyzerem.

— Mam tu okazyjnie do sprzedania piękne, bardzo tanie bucki — powie ci znajomy fryzjer, cukiernik lub piekarz — Będą na szanownego pana jak ulał!

Przymierzasz, zachęcony niezbyt wysoką ceną i zaczynasz spacerować w nich po sklepie na rozłożonej gazecie.

— Rzeczywiście — powiesz wahająco pod wpływem wzroku hypnotezera — kupca — nawet dosyć wygodne... ten lewy trochę ciśnie...

— Teraz ciśnie — mówi hypnotyzer — bo nóżka jest od gorąca spuchnięta, ale jak szanowny pan wróci do damu, nóżki włoży do zimnej wody, to buciczki będą bardzo wygodne. Przecież to pański numerek...

Poczem, nie czekając na dalsze zastrzeżenia klienta, zapakowuje szybko stare buty w papier, dodając jeszcze na pożegnanie, że klient miał prawdziwe szczęście, bo tu już kilku panów się o te buty pytało i chcieli je kupić.

Już po drodze od spożywczego sklepiku do domu biedny nabywca czuje, że lewy but będzie narzędziem tortur, czymś w rodzaju starodawnej norymberdzkiej tortury: „Die Eiserne Jungfrau", która polegała na tym, że przestępcę pakowano całego do żelaznej damy najeżonej kolcami. Ale przepadło, pieniążki zapłacił, but przespacerował — nie ma już rady, będzie w nich musiał chodzić!

Jedynym wyjściem w takim wypadku, gdy się uległo hypnozie sprzedawcy, byłoby idąc w nowych butach, kłaść wciąż przed sobą na chodniku gazety. Wówczas i but byłby cały i sprzedawca wściekły, ponieważ niewygodne buciska możnaby mu oddać w stanie nieomal dziewiczym...

Magdalena Samozwaniec



Janusz Pudełko (Chełm Lubelski): Do cyklu nadesłanych fraszek:

TCHNIENIE WIECZORU
Chłód, zielska zapach w koło,
księżyc w swym blasku się nurza...
— Te, stary, zamknij już okno:
fatalnie śmierdzi z podwórza!

WSCHÓD SŁOŃCA
Czekamy. Na razie — nic.
Na wschodzie niebo się pali.
— Nic z tego. Chodźmy do domu.
Za wcześnieśmy, psiakość, wstali!

MAJOWY WIECZÓR
Słowiki gwiżdżą cichy tren
z brzegu kałuży
— Ty, stara, prycze ściel,
nie siedzę dłużej!

zmuszeni jesteśmy dodać jeszcze jedną:

W Chełmie, niebrzydkim mieś
cie cykają sobie świerszcze:
— Pudełko, do pracy się weź,
przestań pudłować wiersze!

J. Baum (Poznań): „Komu, jak Komu" — zaleca pan — „ale siostrze swojej wierz, no, i ona tobie też".

Nie mamy nic przeciwko temu. Wierzymy swojej siostrze. Ona nam właśnie powiedziała, że wiersz pański jest, niestety, do tzw. luftu.

„Kaerski" (Łódź): Nadesłał pan (między innymi) fraszkę pt. „Sentencja i życie":

Wyrzekło raz indywiduum —
Natura — horret vacuum.
Więc dając naturze wianek,
wychylił gorzały dzbanek.
Lecz wzgardy doczekał się tylko,
bo zwrócił, co wypił przed chwilką.

Wyciągając wniosek z sentencji, radzimy zaniechać pisania fraszek. Natura — horret vacuum.

Antoni K. (Kraków): Skarży się pan, że

Wychodzi „Odrodzenie",
„Nowiny" i „Rózgi",
lecz kiedy w Polsce
wyjdą wreszcie „Mózgi"?

Nie wiemy, kiedy wyjdą „Mózgi", ale rozumiemy pański niepokój. Każdy człowiek marzy o tym, aby mieć to, czego mu najbardziej brak.

Zygmunt Kędziora (Poznań): Z pośród nadesłanych utworów wybraliśmy następującą informację:

Napisać wiersz lub felieton,
doprawdy ogromnie lubię to,
gdy kropnę jednego kielicha,
to i rzecz wyjdzie nielicha...

Informacja, naszym zdaniem, nieścisła. Wprawdzie nie kwestionujemy, że pan doprawdy ogromnie lubi, ale uważamy, że jeden kielich panu stanowczo nie wystarczy. Dużo kielichów panu potrzeba, a i to rzecz wyjdzie nie tyle nielicha, ile — bądźmy szczerzy, panie Kędziora — do licha!

Jadwiga Kasperowicz (Jelenia Góra): „Taka — oświadcza pani — już jestem, że nawet rodzonego męża z wierszem zdradzę".

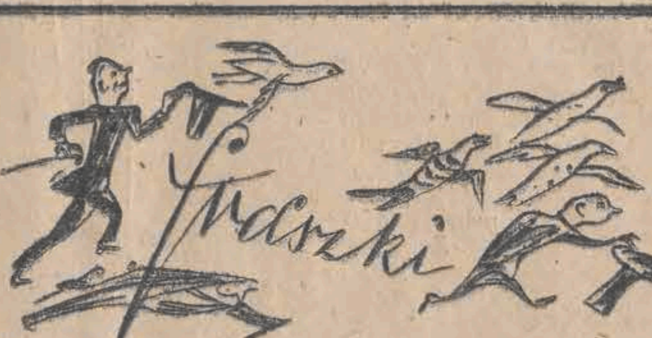
Niech pani nie będzie taka. W ten sposób nigdy pani mężowi rogów nie przyprawi.

Mieczysław Sosnowski (Konin): Zaczyna pan wiersz bardzo intymnie:

Miałem narzeczoną w Łodzi,
która g.... mnie obchodzi...

Nas też. Ale po co to podawać do publicznej wiadomości?

Zofia Libera, Stefan Byrski, Adam F., „XY", „Tońko" (Warszawa), R. Y., Kaziemierz Rzecki, Nik R. (Kraków), Stanisława Praska, H. Ligeza, F. Majkowski (Poznań), „Gagatek", Leszek Wroński, „Katiusza", Z. Lipski (Łódź), „Kajtuś", M. O., Pajkowski (Wrocław): Nie skorzystamy.



IGOR SIKIRYCKI

NA ZEPSUTĄ
Na zepsutą niewiastę bardzo trudna rada:
Przy lada okazji łatwo się rozkłada.

PROBLEM PASA CNOTY
Z całej tej historii nie śmiałbym się wcale
Gdyby pasy cnoty miały zamki „Yale"

POSKROMIENIE
Wszędzie była kierowniczką,
Wszędzie pierwszą radną.
Aż spotkała Władysława
Stała się pod-władną.

O DRWALU I SZPAKU
Rzekł drwal: „Zły to ptak, co własne gniazdo kala".
Na to szpak: „Racja" i kalnął na łysinę drwala.

JAN CZARNY

WYJAŚNIENIE
Niesłusznie, miła, się oburzasz,
że postąpiłem tak niegodnie:
W twoim dekolcie tkwiła róża,
a we mnie — widać — tkwi ogrodnik...

DOBRA DUSZA
Tak dobrej duszy, jak dama owa,
nie spotkasz dziś w ogóle:
Ona gotowa, co dzień zdejmować
z siebie ostatnią koszulę...

JÓZEF PRUTKOWSKI

Z cyklu — Niemcy pracują pokojowo

Ilustr. KAROL BARANIECKI

TRENER

Co dzień oddaje się sportowym harcom,
Jest cały spocony z wysiłku.
Niedawno kopnięciem miażdżył czaszki starcom,
Dziś kopie piłkę tylko.



ROBOTNIK

Ładuje mydło skrzynka po skrzynce,
Lecz ta robota go nudzi.
Niedawno jeszcze w dalekiej Treblince
Wyrabiał mydło z ludzi.





INTROLIGATOR

Oprawia w skórę książki Schillera
O różach, burzach, kochankach..,
Ma w oprawianiu wprawę, cholera —
Był jednym z oprawców Majdanka.



AMANT

Dzisiejszy amant, wczorajszy morderca,
Zdobywa na scenie sławę,
Zapala miłością swych partnerek serca
Wczoraj — podpalał Warszawę.

JOHN M. COX

Ilustr. KAROL BARANIECKI



PRZEWRÓT

Wybuch bomby atomowej spowodował poważne zmiany na jednym z wielkich uniwersytetów środkowego zachodu Stanów Zjednoczonych.

WPŁYW ROLNICZEGO ŚRODOWISKA

Uniwersytet ten o starych, pokrytych bluszczem, murach miał wprawdzie, już od czasu swego powstania, wydział sztuk pięknych, lecz największe wpływy posiadali profesorowie wydziału rolniczego, a mianowicie: agronomii, hodowli, pszczelarstwa itd.

Byli to ludzie o potężnej budowie, posiadający wiele dzieci i niezachwianą pewność siebie. Rządzili się jak szare gęsi na zebraniach profesorskich, wiedząc doskonale, że w razie oporu innych profesorów mogli spokojnie liczyć na poparcie posłów z sąsiednich okręgów rolniczych.



Przechodzili majestatycznie po podwórzu uniwersytetu, przypominając wyglądem nieomal rzymskich gladiatorów.

NIEŚMIAŁY INTRUZ

W takiej to atmosferze pojawił się, przed dwunastu laty, dr William Ames, absolwent uniwersytetu w Harward, doktór filozofii uniwersytetu w Cambridge i profesor fizyki.

Ames był wątły, uzbrojony w potężne, wypukłe okulary. Żona jego Klara nosiła tylko trzewiki na płaskich obcasach, była dość ładna, lecz bezbarwna. Nikt nigdy nie powtarzał jej uwag. Na zebraniach ciała profesorskiego nie dostąpiła nigdy zaszczytu nalewania herbaty. Nie miała dzieci, a niewyczerpana płodność żon innych profesorów stanowiła krzyczący kontrast z jej bezpłodnością. Starając się przezwyciężyć to kalectwo, dr Ames i jego żona czytali potężne dzieła o dziedziczności, przemianie gatunków, antropologii i zwyczajach tubylczych szczepów, tyczących się rozmnażania.

WYBUCH BOMBY ATOMOWEJ

Podczas swych studiów w Cambridge dr Ames był skromnym uczniem słynnego badacza atomu, lorda Rutheforda, który nauczył go zasad prawdziwych i bezlitosnych praw, rządzących niewidzialnym światem atomów.

Podczas 12-letnich wykładów, profesor Ames miał jedynie niewielu uczniów. Fizyka wyższa nie miała zwolenników wśród młodzieży.



Wszelkie jego prośby o aparaty do doświadczeń, które składał na zebraniach senatu akademickiego, były zdecydowanie odrzucane głosami profesorów hodowli i rzeźnictwa, którzy pragnęli nowych wirówek do mleka i nowych przyrządów do krajania szynki. Również profesor uprawy roli sprzeciwiał się żądaniom dra Amesa, gdyż miał zamiar zakupić traktor do orki, z napędem na cztery koła i aparatem radiowym.

Profesor Ames był łagodnym barankiem wśród dzikich tryków i przyjmował filozoficznie swoje bezbarwne stanowisko. W tajemnicy podziwiał wspaniałą postać i pewność siebie profesora rzeźnictwa.

Na uniwersytecie lato r. 1945 upływało spokojnie. Niemcy byli pokonani, kursa przysposobienia wojskowego drzemały wśród prerii.

Nagle dnia 5 sierpnia w tysiącznej części sekundy, blask dziesięciu tysięcy słońc oświetlił Hiroszimę, a potem ponura chmura w kształcie grzyba wzniosła się na wysokość 60 tysięcy stóp.

W dziewięć dni po tym wojna była skończona. Na uniwersytecie przez tydzień trwały uroczystości, które ustąpiły miejsca pełnej podziwu ciszy, gdy dzienniki przyniosły szczegóły pracy dokonanej przez uczonych, tych rozczochranych „fizyków", którzy w swoich formułkach posiadali tajemnicę potęgi.

DR AMES ZWYCIĘŻA



W październiku, przed pierwszym zebraniem senatu uniwersyteckiego, przy otwarciu nowego roku szkolnego, ciało profesorskie w komplecie zebrało się koło drzwi auli oczekując, by rektor wezwał profesorów do zajęcia miejsc. Gdy tylko rozległ się głos dzwonka prezydialnego, wszyscy zamilkli i usłyszano ciche szuranie stóp profesorów, którzy rozstępowali się, pozostawiając wolne przejście.

Przejściem tym szedł dr Ames, ku zwykłemu swemu miejscu. Nie patrzył ani na prawo, ani na lewo, prostując swe wątłe ciało, jak pruski generał na paradzie.

Podczas zebrania zażądał głosu, którego udzielono mu wśród objawów głębokiego szacunku. Oświadczył, że wykłady fizyki cieszą się ogromną popularnością i że ma już 250 słuchaczy. Ilość ta wymagała nabycia pewnej liczby przyrządów naukowych itd. Ogółem dział fizyki wymagał wkładów w kwocie miliona dwustu tysięcy dolarów.

Profesor odwrócił się i wyzywająco zapytał, czy inne wydziały mają jakie zastrzeżenia.

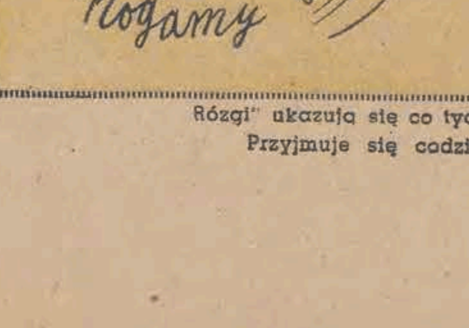


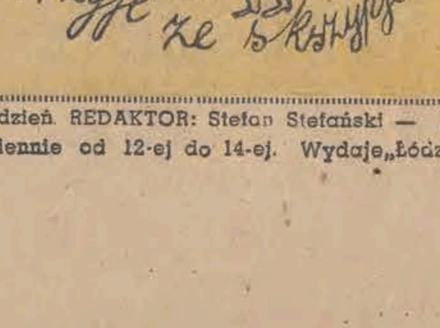
Wówczas powstał profesor rzeźnictwa i jak wąż urzeczony głosem fletu, poprosił o przyznanie tej kwoty. Wniosek ten uzyskał natychmiastowe poparcie innego profesora i został przyjęty jednogłośnie.

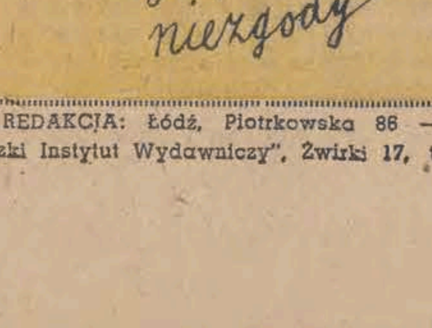
Wówczas dr Ames obrócił się na pięcie i powiedział: „Żegnam panów", opuszczając salę sztywno wśród szeregu onieśmielonych kolegów.

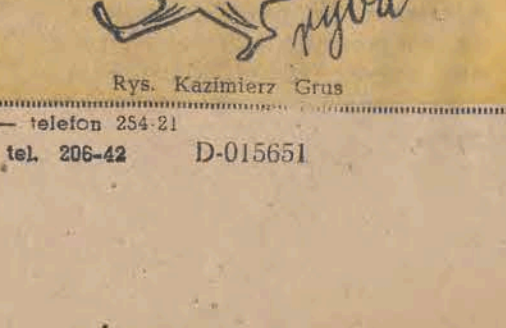
Dnia 13 maja 1946, żona profesora, Klara powiła bliźnięta. Od tego czasu można niekiedy spotkać w jednym z barów miasta, dra Amesa, który z nogami na miedzianej barierze, wydaje gospodarzowi głośne rozkazy.

Tłumaczył
Benedykt Brykczyński









Rys. Kazimierz Grus

„Rózgi" ukazują się co tydzień. REDAKTOR: Stefan Stefański — REDAKCJA: Łódź, Piotrkowska 86 — telefon 254-21
Przyjmuje się codziennie od 12-ej do 14-ej. Wydaje „Łódzki Instytut Wydawniczy", Żwirki 17, tel. 206-42 D-015651